

# widz\_trebicki(nie)poleca: „Carmen”

20 kwietnia 2022



O spektaklu „Carmen” Georges Bizeta w reż. Andrzeja Chyry w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie pisze Robert Trębicki.

Ze spokojem i nadzieją na pyszny wieczór wybrałem się do Teatru Wielkiego w Warszawie na „Carmen” w reżyserii słynnego i znanego aktora Andrzeja Chyry. A „Carmen”, jak wiadomo, to samograj, z mnóstwem hitów, które zna każdy, nawet kompletny laik w klasyczno-muzycznym temacie. Orkiestrowy wstęp, fantastyczny dziecięcy marsz „Avec la garde montante”, „Habanera” czy „Toast Torreadora” czynią z dzieła Bizeta najbardziej znaną i najbardziej przyswajalną operę świata.

W warszawskiej inscenizacji właściwie wszystko było takie sobie, nijakie i kompletnie nieprzekonywujące, jednocześnie pełne absurdalnych momentów, które wprowadzały sporo rozbawienia u obytych widzów, choć widziałem również gesty łapania się za głowę czy kręcenia nią z widocznym niedowierzaniem.

Orkiestra grała podczas kwietniowego spektaklu na pół gwizdka, mijając się niekiedy rytmiczne ze śpiewakami. Ogromne i niezrozumiałe w wielu momentach było forte instrumentów blaszanych i perkusyjnych, które skutecznie zagłuszało smyczki z drugiego końca orkiestrowego kanału.

Perłą, zarówno wokalną jak i aktorską, była Katarzyna Trylnik w roli Micaeli; czuło się, że jej każde pojawienie się na scenie było po coś. Szeroka paleta aktorskich nastrojów, do tego każde wokalne wykonanie wbijało w fotel i wywoływało ciarki na plecach. Wspaniała artystka. Reszta śpiewaków w rolach głównych nie porwała mnie zupełnie, choć wszystko było wykonane poprawnie, elegancko, ale bez iskry, pasji i wokalne radości. Chórowi chłopięcemu Artos reżyser najzwyczajniej w świecie zrobił krzywdę, gdyż w najważniejszych momentach chłopaków po prostu nie było słychać, a choreografia polegająca na tupaniu i wyrzutach zaciśniętych pięści po prostu im w dobrym śpiewie przeszkadzała. Dlatego wokalny hit maszerującej wzorem żołnierzy działwy jest najdelikatniej mówiąc słabiutki. Wielka szkoda, bo pamiętając genialny występ chóru Artos w koncertowym wykonaniu „Mojżesza”, w Filharmonii Narodowej, spodziewałem się od młodych artystów wokalnego, a nawet aktorskiego majstersztyku. Może kiedyś znów usłyszę błysk geniuszu tej utalentowanej dzieciarni, tym razem jednak nie wyszło.

O ile w warstwie muzycznej, ze względu na nośność materiału, jestem w stanie wykonawstwo docenić i nie pastwić się nad nim, tak w warstwie pomysłów reżyserskich zobaczyłem rzeczy, których kompletnie nie rozumiałem i chciałbym, by mi ktoś te pomysły jednak wytłumaczył. Jeśli już Frasquita i Mercédès pokazane są jako lesbijska para (bo czemu nie?), to jakim cudem w drugiej części jedna z nich pokazuje sporych rozmiarów brzuszka? Czyżby chodziło o dopełnienie modnego skrótu LGBT, a reżyser postanowił to szlagierowo pokazać? Natomiast na tyłach sceny pojawia się animowana, wielka postać podobna do tej z filmu „Hellboy” – w jakim celu reżyser zastąpił kojarzącego się z Sewillą byka postacią z filmu fantasy? Czy to protest przeciw przemysłowej hodowli zwierząt? Widzimy również dziecięcych figlarzy, którzy bez problemu zdejmują wielki dzwon, by za chwilę oglądać żandarmów uginających się pod jego ciężarem – czy to może metafora siły młodości?

Chór statystów snuje się podczas trwania spektaklu bez większego sensu, a na samej scenie góruje ogromna stalowa konstrukcja, na którą od czasu do czasu ktoś wchodzi, ale generalnie trudno dociec, czemu to ma służyć. Może poza jednym momentem, kiedy nagle chór zaczyna tę stalową konstrukcję rozbierać i wynosić w bliżej nieokreślonym kierunku. Być może to nawiązanie do telewizyjnego programu „Złomowisko” i zapewne chodziło o ochronę planety i trendy ekologiczne.

Finał opery z zabójstwem tytułowej Carmen odbył się w towarzystwie modnej kamerki, pokazującej w ogromnym zbliżeniu twarze artystów – zabieg znany z częstego używania w Nowym Teatrze w Warszawie (choć nie tylko), w którym reżyser jako aktor przecież często występuje.

Mnóstwo pytań rodzi to przedstawienie, ale znaleźć na nie odpowiedzi jest raczej trudno. Dobrze, że chociaż muzyka została wciąż ta sama, a znana jest mi z wielu inscenizacji, które widziałem na kulturalnych kanałach w TV bądź na YouTube. Chyba po raz pierwszy wyszedłem z „Carmen” roześmiany i rozbawiony, za to podśpiewując ulubiony marsz dzieciaków z pierwszego aktu.